

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.
1/2 " -- 40 "
1/4 " -- 20 "
1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Teorje i rzeczywistość.

„Sialanskaja Niwa“ pisząc w swoim sprawozdaniu z jubileuszu „Krynicy“ o mowie p. Świaniewicza, poddała ją ostrej krytyce, utrzymując, że pomawianie Białorusinów o uleganie wpływom nacjonalistycznym jest zupełnie bezpodstawne i niezgodne z prawdą.

W tym samym jednak numerze jakiś „Białarus—wunjat“ z powodu wygłoszenia przez ks. unickiego Z. Szymkiewicza kazania w języku polskim nie posiada się z oburzenia i gorąco protestuje przeciwko twierdzeniu, że ziemie litewsko-białoruskie są krajem o ludności mieszanej. Zdaniem autora jest to wierutna bajka. Połać białoruską zamieszkują tylko Białorusini, połać zaś litewską tylko Litwini, garść natomiast spolonizowanych mieszkańców Wilna jest zjawiskiem chorobliwym i przejściowym...

W taki oto prosty sposób załatwiła się „Sial. Niwa“ ze skomplikowanym problemem narodowościowym na terenie b. W. Ks. Litewskiego. I czyż nie jest to objaw tego właśnie nacjonalizmu, który rzekomo ma być całkiem obcy społeczeństwu białoruskiemu?

Mniejsza o to jaką drogą powstał w naszym kraju żywioł polski: czy drogą wynarodowienia, asymilacji czy kolonizacji—zapewne wszystkie te czynniki odegrały swą rolę, inną rzecz również, czy ludność posługująca się u nas mową polską może być zaliczoną do narodowości polskiej czy też stanowi osobną jej odmianę, tak jak Belgowie lub Szwajcarzy, mówiący po francusku nie są jednakże Francuzami. To są kwestje jeszcze niedostatecznie przetrawione i nie ustalone. Ale w danym wypadku nie chodzi ani o ścisłą i odpowiednią nomenklaturę miejscowej ludności polskiej ani też o jej genezę. Faktem jest niezaprzeczonym, że nietylko w Wilnie, ale i w całej

Wileńszczyźnie, a nawet i dalej, wśród zwartej masy białoruskiej i litewskiej znajduje się spory odsetek ludności, używającej mniej lub bardziej poprawnego języka polskiego, zaliczającej siebie świadomie lub nieświadomie do narodowości polskiej, która może być nazwaną „tutejszą“, w żaden jednak sposób nie może być uważaną ani za litewską ani za białoruską.

Jeżeli nacjonałiści białoruscy lub litewscy marzą o tem, że ta wynarodowiona kategoria ludności naszego kraju z czasem powróci do swego pnia macierzystego, że odzyska swe oblicze pierwotne, to grubo się łudzą. Tu i ówdzie oczywiście możliwe są wypadki odosobnione, że jednostki nawet do gruntu spolszczone poczuwszy w sobie głos krwi, ulegając wpływom otoczenia lub ze względów oportunistycznych, gdy warunki odpowiednio się zmieniają, wezmą rozbrat z kulturą polską, przypomną swe pochodzenie i wsiąkną z powrotem w to środowisko, z którego koleje losu je wyodrębniły. Taka ewolucja jest zupełnie możliwa w pojedynczych wypadkach, zwłaszcza w tych okolicach, gdzie element polski jest nieliczny i nie stanowi większych zwartych skupień. Proces jednakże masowy odpolszczania się jest nie do pomyślenia, tembardziej, gdy denacjonalizacja odbywała się stopniowo, w ciągu wieków i przechodziła przez różne stadja.

Weźmy dla przykładu taką miejscowość, jak okolice Miednik i Turgiel. Niewątpliwie jest to terytorjum dawniej rdzennie litewskie. Wskazują na to zarówno nazwy topograficzne, jak nazwiska miejscowej ludności włościańskiej. Już Baliński w pierwszej połowie zeszłego wieku stwierdzał, że znajomość języka litewskiego doszczętnie tu zanikła. Od tego czasu zatarła się wśród mieszkańców nawet pamięć o swem litewskim pochodzeniu. Język białoruski wyparł w zupełności litewski. Z biegiem czasu pod wpływem dworów, kościoła a przedewszystkiem pobliskiego Wilna zaczęła się rozpowszechniać znajomość języka

polskiego. Dziś cała ta ludność mówi jakąś specyficzną gwarą polsko-białoruską, ale uważa się za Polaków i żadna propaganda narodowa czy to białoruska, czy litewska nie znajdzie tam wdzięcznego pola do działania. Zresztą powstałoby trudne pytanie, jaką mianowicie świadomość narodową należałoby szerzyć w takim środowisku: litewską czy białoruską? Obie te narodowości teoretycznie z równą słuszością mogą uzasadniać swe prawo do wpływów wyłącznych, w praktyce zaś ani jedna ani druga nie będą miały powodzenia.

Wspomniana miejscowość nie stanowi bynajmniej jakiegoś wyjątku na terenie Wileńszczyzny, znaczny jej obszar nosi podobny charakter, a to samo widzimy i w Grodzieńszczyźnie i gdzie indziej.

Nie liczyć się z tym faktem może tylko zaślepiony nacjonalista, który swe chęci bierze za rzeczywistość. Nacjonalista polski, dyskontując z góry niezaprzeczone wpływy polskiej państwowości i kultury za pośrednictwem szkoły, kościoła i urzędów jest głęboko przekonany, że cała ludność miejscowa katolicka ulegnie z czasem gruntownej polonizacji, nacjonalista litewski, opierając się na czynniku historycznym i etnicznym wierzy w ostateczny triumf litewskiej idei narodowej na całej przestrzeni, gdzie niegdys rozbrzmiewała mowa litewska, nacjonalista białoruski wreszcie pod wpływem budzącego się żywiołowego ruchu mas ludowych marzy o tak szerokim wylewie rozkołysanego morza białoruskiego, żeby w niem zatoneły wszystkie wyspy, a fale jego uderzyły bodaj o twarde brzegi Żmudzi, Mazowsza i Moskwy. Nie tak dawno jeszcze nacjonalista rosyjski nie miał najmniejszej wątpliwości, że całe to terytorjum, na którym już wówczas się ścierały wpływy polskie, litewskie i białoruskie, pierwiej lub później zostanie doszczętnie zrusyfikowane... A życie śmieje się z tych

wszystkich utopij i raz po raz wytwarza nowe kształty i formy, które do rozpaczy doprowadzają doktrynerów i zwolenników szablonu.

Wiek XIX zrodził dwa potężne prądy społeczne: kapitalizm i nacjonalizm. Pod ich wpływem powstały teorie, kreślące drogi rozwoju ludzkości według schematów o tendencji wybitnie generalizującej. Wielkie organizmy gospodarcze miały spowodować zagładę drobnych, wielkie narody miały pochłonąć pokrewne sobie małe szczepy i odmiany. Tymczasem życie poszło inną drogą, w wielu dziedzinach wielki kapitał nie potrafił zniszczyć drobnego producenta, który zwycięsko wytrzymuje z nim konkurencję, a nacjonalizm nie zdołał zabić terytorjalizmu, który staje się czynnikiem coraz bardziej ważkim w układzie stosunków międzynarodowych, ściślej mówiąc między państwowych. Pomimo swego widocznego bankructwa teorie te mają jednak dotąd licznych wyznawców.

Nacjonalizm, jako dążenie do stworzenia państwa narodowego, jednolitego pod względem językowym jest zjawiskiem naturalnym, dającym się zaobserwować u wszystkich narodów, zarówno mających długą przeszłość historyczną, jak występujących dopiero na widownię dziejową. Niewiele jednak z nich znajduje się w tem szczęśliwym położeniu, że może zrealizować ten ideał w pełni. Większość, wskutek przyczyn historycznych i geograficznych napotyka w tem dążeniu na przeszkody w postaci mniejszości narodowych. Niektóre zaś terytorja sa zamieszkałe przez tak różnorodną ludność, że nie może być nawet mowy o stworzeniu z nich państw o charakterze narodowym. Do takich należą Belgja, Szwajcarja, Czechosłowacja, do pewnego stopnia Jugosławja, Finlandja, Ilandja, a w przyszłości, o ile powstanie w całej swej rozciągłości, również W. Ks. Litewskie.

Aureljusz Palmieri.

W ostatnim dniu października nadeszła do Wilna żałobna wieść o zgonie ś. p. prof. Aureljusza Palmieriego w Rzymie.

Dla wielu względów „Przegląd Wileński” nie może milczkiem przejść obok tej świeżej mogiły.

A. Palmieri, uczony mnich augustynjański, najlepszy w świecie katolickim znawca doktryny prawosławnej i gorący zawsze zwolennik połączenia kościołów, nabrał rozgłosu szczególnego dzięki swej kapitalnej, będącej owocem studjów kilkunastoletnich pracy „La Chiesa Russa” (Florenceja 1908), która wnet po wyjściu z druku stała się też przedmiotem długiej a namiętnej polemiki nie tylko w Polsce, lecz i na forum europejskiem. Nikt ani przed nim, ani po nim nie wykazał w tej dziedzinie równie imponującej erudycji. Niepospolitą było satysfakcją słyszeć Palmieriego na kongresach unionistycznych w Velehradzie, jak rozprawił o Cerkwi prawosławnej, znakomicie się orientując w całej prawosławnej literaturze. Niezwykła pamięć pozwalała mu jak z rękawa sypać źródłami do każdego w tym zakresie tematu, który poruszał.

Oczywiście, nie sposób było wyspecjalizować się w tej gałęzi wiedzy, siedząc sobie w Rzymie, chociażby w najbogatszej bibliotece, i będąc obłożonym dokoła całemi stertami dzieł prawosławnych. Rozumiejąc potrzebę poznania Cerkwi rosyjskiej, postanowił Palmieri przypatrzeć się jej zblizka i 1^{1/2} roku bawił w Rosji. Nie będąc nigdy suchym a jednostronnym specjalistą, interesował się on już z Rzymu również zagadnieniami polskiem, litewskiem, ukraińskiem... Czytywał się w tym celu i zbierał dokumenty, które mu dostarczali liczni jego znajomi. Trzy lata w paru nawrotach spędził on w Krakowie.

Odwiedził też Wilno, gdzie chciał zbadać bliżej kwestję litewską. W jednej z swych broszur tak o tem mówi: „Wprawdzie kapłani litewscy dostarczyli mi sporo dokumentów, odnoszących się do kwestji religijnej na Litwie, lecz kiedy udałem się do Wilna, dla zbadania wartości tych dokumentów przy pomocy księży polskich, żaden z nich nie zechciał mi przyjąć, nie miałem sposobności przestąpić progów seminarjum katolickiego, mimo polecających listów od osób wpływowych”. — Słusznie Palmieri nie chciał poprzestać na wertowaniu nadesłanych mu źródeł do kwestji litewskiej i usiłował skonfrontować je

O ile można zrozumieć (choć nigdy nie usprawiedliwić!) nacjonalizm francuski, niemiecki, włoski we Francji, Niemczech i Włoszech, to te same nacjonalizmy w Szwajcarii byłyby absurdem, gdyż, pomijając ocenę ich z punktu widzenia etyki, wywoływałyby one ustawiczne zacięte walki w całym państwie i doprowadziłyby je rychło do upadku. Gdy nacjonalizm w państwach narodowych tamuje rozwój tylko pewnych jego części, w państwach narodowościowych uniemożliwia życie na całej przestrzeni, zatrzuwa cały organizm. Jest więc podwójnie szkodliwy, bo i deprawuje moralnie i rujnuje materialnie.

Dlatego też miał najzupełniejszą rację p. Świaniewicz wskazując na ujemne skutki, jakie wywołuje specjalnie na naszym gruncie nacjonalizm zarówno polski, jak litewski czy białoruski. A niestety dążenie do supremacji i wyłączności istnieje we wszystkich tych trzech odłamach.

Dekret o represjach prasowych świadczy wyraźnie, że rząd p. Piłsudskiego wkroczył na drogę zdecydowanej reakcji.

Dekret ten zawiera takie ograniczenia wolności prasy, o jakich się nie śniło nawet rządowi absolutystycznym. Spotkał się on z surową oceną w całej prasie warszawskiej, od prawicy do lewicy, nie wyłączając nawet pism, oddanych rządowi. Milczą lub usprawiedliwiają ten krok rządu jedynie pisma wileńskie „Kurjer Wileński” i „Słowo”. Nic dziwnego, skoro dekret podpisany jest przez ministrów Staniewicza i Myszowicza..

Krytykować ten niesłychany dekret jest to wylamywać drzwi otwarte. Ktoby jednak miał jakieś wątpliwości w tym względzie, niech przeczyta świetny artykuł Ludwika Naudeau w ostatnim numerze „Illustration”. Dziwnym zbiegiem okoliczności ukazał się on niemal w przededniu ogłoszenia dekretu.

z rzeczywistością litewską w Wilnie. Szczytem bezstronności było, że o pomoc w tem prosił właśnie księży Polaków, wśród których z latarką by w dzień biały szukać bezstronnych tu obserwatorów. Niestety, pomocy tej mu nie dano. Rozumiemy też dobrze, że trudno mu być mogło przekroczyć progi seminarjum duchownego w Wilnie, gdy na czele jego stał zacofany oryginał ś. p. ks. prałat Bajko. Mimo wszystko, pisząc o Litwinach, zajął Palmieri stanowisko bardzo życziwe. Szkoda tylko, że dość krytycznym się nie okazał w spożytkowaniu nagromadzonych materiałów. Raz, drugi zbyt cieżko zaufał informacjom w stylu „Litwy” Mieczysława Dowojny-Sylwestrowicza. Bardziej atoli czuł się w swym żywiole, gdy dotykał kwestji ukraińskiej, tak ściśle związanej ze sprawą Unji. Marjawityzm, Polski Kościół Narodowy i in. sprawy były mu też znane.

W badaniach naukowych i podróżach po Polsce, Litwie i Rosji, Palmieri rychło zrozumiał, że umysłowość polska, dziedzinie obciążona przeróżnymi uprzedzeniami względem wszytkiego, co ma coś wspólnego ze Wschodem rosyjskim, wcale nie ułatwi sprawy przyszłego zjednoczenia kościołów. Trzebaż było jemu myśl powyższą zredagować w for-

Jak cię słyszą, tak cię piszą.

Niemal od powstania państwa polskiego z łamów prasy polskiej wszelkich odcieni nie schodzi skarga na propagandę antypolską w prasie zagranicznej i biadanie na nieudolne lub niedostateczne jej przeciwdziałanie. Endecy winią w tem radykałów, pełniących zagranicą służbę dyplomatyczną, radykali zaś wytykają to samo endekom, siedzącym w centrali, lub naodwrot. W latach ostatnich może jeszcze głośniejsz tu i ówdzie rozlega się głos wołania o stworzenie biur prasowych, które broniłyby na forum wszechświatowym dobrego imienia Polski.

Troska ta jest zupełnie zrozumiałą, powstaje jednakże pytanie, jak owo biuro prasowe przeciwdziałać będzie przedostawaniu się do prasy zagranicznej eksterminacyjnych wywodów i domagań się o ich realizację przez rząd, od których się aż roi w „Gazecie Warszawskiej”, „Słowie Polskiem”, „Kurjerze Poznańskim”, „Słowie Pomorskiem”, „Myśli Narodowej” i t.p. Czy rząd ma w drodze prawodawczej ogłosić immunitet tych artykułów (jak do treści, tak i do formy)? Czy wyda zakaz ich *eksportu*? Czy może ograniczy się do nałożenia wysokich cel na te skarby polskiej myśli narodowej, by nie zubożać przez ich odpływ biednego w zdrową a twórczą myśl kraju? Mówimy o prasie endeckiej, bo ona była i jest nieprzebraną kopalnią coraz nowych zarzutów, *jakie stawiać Polsce musi każdy uczciwy człowiek*, dla którego elementarne względy humanitaryzmu są punktem wyjścia w ocenie narodów i krajów. Polityka polska: wyznaniowa, szkolna, administracyjna w stosunku do mniejszości narodowych wprost urąga pojęciom ładu i sprawiedliwości. Na nic się nie przyda dlatego ciągle z natarczywością brzęczącej nad uchem muchy powoływanie się na przysłowiową (sic!) polską tolerancję!.

A więc Polska *sama* w setkach tysięcy odbijanych codziennie egzemplarzy prasy endeckiej rozrzuca dwakroć dziennie, rano i wieczorem, na obszarze, *gdzie do 40% mieszka nie Polaków*, moc bibuły za-drukowanej artykułami, które przez tyle lat policz-

mie kategorię twierdzeń: „Kler polski jest *przeszkodą* w zbliżeniu Rosji do katolicyzmu..., jest *niezdalny* do szerzenia katolicyzmu pomiędzy Rosjanami”. — Zdanie przytoczone było iskrą sprowadzającą wybuch ostrej a długiej polemiki między zwolennikami a oponentami tej tezy, polemiki, której z łatwością dałoby się uniknąć przy oględniejszym wyrażaniu się.

Do wystąpienia w roli generalnego obrońcy polskiego punktu widzenia w tej sprawie uczuł się powołanym ks. Aleksander Mohl, jezuita, człowiek niewątpliwie zdolny i światły, lecz w szeregu swych występów polemicznych przeciw Palmieriemu znakomicie reprezentujący tylko sposób patrzenia przeciętnego Polaka na zagadnienia polityki kościelnej i kwestje narodowościowe. Zarozumiał, uparty, naiwny, zgoła nierozumiejący problemów narodowościowych, miał ten endek w habicie jezuitskim coś jeszcze z pogardliwego stosunku dawnych panów polskich do Unji. Prawdziwym nieszczyściem było, że taki człowiek dorwał się do polemiki z Palmieriem, Europejczykiem o szerokim widnokręgu umysłu i serca. Te personalia przeciwników utrudniły im dojście do jakiegoś porozumienia. Ponieważ ks. Mohl

kują i plują w twarz Ukraińcom, Białorusinom, Litwinom, Niemcom, Żydom. Prasa ta idzie też zagranicę. W Polsce wciąż popasa szereg dziennikarzy i wprawnym okiem śledzi za odbiciem poglądów kół miarodajnych w zwierciadle prasowym. Istnieją w Warszawie przy przedstawicielstwach państw zagranicznych referenci prasowi, którzy nie siedzą przecież bezczynnie.

Gdy w wiekach minionych ktoś pokrzywdzony chciał powiadomić opinię zagraniczną o jakiejś doznanej krzywdzie, goniec zaszywał powierzone mu pismo do swej czapy lub poły żupanu, wsiał na koń i gnał co sił, na granicy przekupywał strażę lub mylił forpoczty, by dotrzeć wreszcie do celu swej podróży. Dziś głos bólu i skargi narodowej prawie nie zna już co rogatki i granice. Dziś na jego usługach są radio, telegraf, poczta, telefon, samoloty, i pospieszne pociągi...

Więc daremne będą wszystkie wysiłki Polski, by uniemożliwić to, co opinja naiwnie nazywa propagandą antypolską, a co właściwie jest *najczystsza a spontaniczną emanacją polskiego nacjonalizmu*. Jakże tu zamknąć hermetycznie granice państwa, by te opary lub odory nie przeniknęły poza nie?!

Ha, trudno! Jak cię... słyszą, tak cię piszą.

Weteran.

Jubileusz d-ra J. Basanowicza.

Naród litewski d. 23 b. m. uroczyście obchodzi 75-ą rocznicę urodzin jednego z najwybitniejszych swych działaczy, twórcy ruchu odrodzeniowego litewskiego i wybitnego uczonego d-ra Jana Basanowicza.

Dwukrotnie już na łamach „Przeгляdu Wileńskiego” podnosiliśmy zasługi jubilata: w r. 1912, gdy obchodzona była 60-a rocznica jego urodzin oraz w r. 1921 w dniu obchodu takiejże 70-ej rocznicy. Pozwalamy sobie powtórzyć na tem miejscu krótki życiorys zasłużonego działacza.

Dr. Jan Basanowicz urodził się we wsi Ożkabale, w Suwalszczyźnie w r. 1851. Po ukończeniu nauk

zaprzeczył twierdzeniom Palmieriego, ten dał odpowiedź naprzód w krakowskim „Czasie”, a gdy jego oponent rzucił się nań z większym jeszcze tupetem, wówczas wydał broszurę „Mohlianismus et panpolonismus eorumque methodus, polemica et consecraria” (Rzym 1910), jako apologję swego dzieła „La Chiesa Russa”. Ten wypad polemiczny, posiadający pełną aprobatę kościelną: *nihil obstat* i *imprimatur*, swym częstokroć brutalnym tonem żywo przypominał wojny słowne i dialektyczne z okresu reformacji”. Najwyraźniej się zastrzegając, że nie toczy walki z Polakami, których rzecznikiem zawsze był i będzie, i będąc pełen uznania dla prac i zasług ks. Urbana, ks. Godlewskiego i in. Palmieri z niewidzianą dotąd siłą uderzył we wszechpolskość, zniewalając Kościół w Polsce do wynarodawiania Litwinów, Białorusinów i Ukraińców i dążącą do okrążenia obrządku gr.-katolickiego w Galicji Wschodniej, by rychło stał się równie *szczętkowym*, jak zanikający na naszych oczach ormiańsko-katolicki... Gdy las rąbia, leca drzazgi i syją się wióry. Znajdziesz tedy i u Palmieriego trochę przesady, parę faktów z działalności wszechpolskiej w Wilnie, wymagających wprzód krytycznego jeszcze zbadania... Wszędzie jednak

gimnazjalnych ze srebrnym medalem w Marjampolu w r. 1873, na dalsze studia wyjeżdża do Moskwy, gdzie wstępuje na wydział historyczno-filologiczny, który następnie porzuca, by przejść na wydział lekarski. Po otrzymaniu dyplomu lekarskiego w r. 1879 udaje się na zaproszenie rządu bułgarskiego, jako lekarz, na półwysep Bałkański i zwiedza po drodze Wiedeń i Pragę, gdzie spędza czas dłuższy, oddając się studjom historycznym i etnograficznym.

W r. 1883 dr. Basanowicz zjeżdża do Tylży i tam zakłada i redaguje słynną „Auszre”, która odegrała taką wybitną rolę w ruchu odrodzeniowym litewskim.

Okoliczności nie pozwoliły mu dłużej wytrwać na tem stanowisku i zmusiły go do powrotu do Bułgarii, gdzie przebył kilkanaście lat, pracując również gorliwie na polu naukowym. Rewolucja rosyjska w r. 1905 pozwoliła stęsknionemu do swej ojczyzny wygnańcowi powrócić wreszcie do rodzinnego kraju. Dr. Basanowicz osiadł na stałe w Wilnie, rozwijając tu ożywioną działalność społeczną. Z jego to inicjatywy odbył się w Wilnie w r. 1905 wielki zjazd litewski, który miał olbrzymi wpływ na rozbudzenie świadomości narodowej w masach ludowych litewskich. Sformułowany i uchwalony na zjeździe postulat autonomji Litwy stał się fundamentem późniejszych dążeń niepodległościowych.

W r. 1907 dr. Basanowicz założył w Wilnie Litewskie Towarzystwo Naukowe, którego prezesem pozostaje do dziś dnia.

Jeszcze przed wojną dr. Basanowicz usunął się całkowicie od działalności politycznej, poświęcając się wyłącznie pracy naukowej, dzięki czemu opinja skrajnego *nacjonalisty*, jaką swemi dawniejszemi wystąpieniami wyrobił sobie w społeczeństwie polkiem zwłaszcza, zatarła się niemal zupełnie w pamięci ludzkiej, ustępując miejsca nieposzlakowanej reputacji wielkiego *patrioty*. Dziś postać sędziwego jubilata otacza respekt powszechny.

Ponawiając swe gratulacje i życzenia, któreśmy składali tu przed pięciu laty, niewiele mamy do dodania, chyba to tylko, że do zasług czcigodnego jubilata przybyła jeszcze jedna: przywiązanie do Wilna i rzadka wytrwałość na swym posterunku narodowym.

przebija się szczerą życzliwością dla młodych narodów i gorące ukochanie Unji. Wszędzie wyczuć można u niego — przyjaciela słabszych.

Srodze się obraziła Polska endecka i endekująca na takie *dictum acerbum* mnicha włoskiego. Ks. Mohl, raz jak Marcel Bolesta po francusku, to znowu, jak A. von Rädltz po niemiecku, wreszcie do spółki ze znanym u nas ks. J. Borodziecem (95:5) wydaje w Paryżu i Wiedniu szereg publikacji, by zdyskredytować Palmieriego i bronionych przezeń Litwinów i Ukraińców. Nie zabrakło paru podejrzanych obrońców wszechpolaków i we Włoszech, z którymi się rozprawiał nasz uczoney w dłuższym a ciekawym artykule wydanym też w odblasku: *Per la postuma gloria del signor de Töth* (Rzym 1910).

Dobrze rozumiał Palmieri, że polemika, jakkolwiek nieraz jest nie do uniknięcia, nie może być głównym zadaniem pisarza katolickiego. Miał tedy po owej broszurze ogłosić drukiem książkę p. t. „Le catholicisme en Russie dans ses relations avec le panrussisme, le panpolonisme et le mohlianisme”, jednak nie wiemy, czy to dzieło wyszło, chociaż napewno było już pod prasą. Zdaje się jednak, że to

Dr. Basanowicz nie porzucił Wilna, mimo że w Kownie znalazłby niewątpliwie szersze pole dla swej działalności naukowej i bardziej przyjazną atmosferę. Pozostał jednak, samotny niemal, na straży zgromadzonych przez siebie zbiorów, aby w trudnych i niewdzięcznych warunkach snuć dalej nić rozpoczętej przed dwudziestu laty pracy. Tak mu nakazywało poczucie twardego obowiązku narodowego. Wiadomo — nie dzisiejszy człowiek!.

L. A

Z mego notatnika.

Perfidja biurokratyczna.

Gdy w Warszawie ku ogólnej ucieście posłowie sejmowi łamią sobie głowę nad Hamletowskim zagadnieniem: wstać, czy siedzieć? — u nas w zapadłym kącie pow. Lidzkiego siermiężna ludność dwóch wiosek litewskich, stanąwszy wobec o wiele cięższej alternatywy: płacić czy siedzieć? — bez wahania wybrała to drugie rozstrzygnięcie.

Tam — farsa, tu — dramat. Dramatyczność tego epizodu polega wszakże nie na fakcie odsiadania aresztu policyjnego, do czego ludność nasza, wobec szerokiej kompetencji władz administracyjnych, ma sposobność aż nadto często, lecz na tem, że ów dyblemat co do rodzaju kary powstał na gruncie większej predylekcji mieszkańców wsi Strzelce i Raściuny do prywatnej szkoły litewskiej, niż do rządowej szkoły polskiej, która wskutek tego świeciła pustkami.

Formalnie władze są w porządku. Istnieje przy- mus szkolny i rodzice, którzy się uchylają od posy- łania dzieci do szkoły powszechnej podlegają karom pieniężnym lub w razie niemożności ich uiszczenia, karze aresztu. Tak brzmi surowy przepis, za pomocą którego prawodawca chciał przełamać obojętność ciemnego wieśniaka względem oświaty i który miał na celu radykalne a skuteczne wytepienie analfabetyzmu.

Nie przewidział jednak prawodawca, że może

nie było mu sądzonem. Niestety! Zdemaskowani przed światem wszechpolacy, liczący tylu ślepych adherentów w kadrach kleru polskiego, użyli wszelkich sposobów, by ściągnąć nań w Rzymie niełaszkę pewnych sfer rządzących. Jest rzeczą więcej niż prawdopodobną, że to właśnie było przyczyną nieukazania się z druku zapowiedzianej książki.

Augustynianie nie należą do bogatych zakonów i Palmieri nieraz doświadczał biedy. We wstępie do największej swej pracy, która miała być dlań *opus vitae*, a została przerwana już na drugim, b. skurczonym tomie: „Theologia dogmatica orthodoxa”, zwierza się głośny pisarz z tych trudności, że musi *prius vivere, deinde philosophari...* Los powyższej pracy podzieliła druga z benedyktyńską pilnością rozpoczęta: „Nomenclator litterarius theologiae graeco-russicae”.

Tak nadeszła dla Palmieriego *hora tenebrarum*. Wskutek knowań wrogów i przeciwników i jedno- cześniego braku poparcia i obrony ze strony przyjaciół popadł on w Rzymie w niełaszkę. Gdy wydział teologiczny wszechnicy zagrzebskiej chciał go powo- łać na katedrę teologii orjentalnej, odnośna kongre-

zając taki wypadek, gdzie źródłem abstynencji lud- ności będzie nie obojętność jej na sprawy oświato- we, lecz przeciwnie głębokie uświadomienie i wyro- biony pogląd na kierunek szkolnictwa. Wbrew inten- cjom więc prawodawcy włóścianie ze wsi Strzelce i Raściuny muszą odsiadywać karę w areszcie poli- cyjnym za zbyt gorące umiłowanie elementarza w ję- zyku ojczystym.

Jest to oczywiście paradoks życiowy, niestety niezmiernie smutny paradoks, którego autorami są biurokratyczni, przebiegli wykonawcy ustawy, dającej im możność za pomocą środków legalnych szykano- wanie i prześladowanie ludności litewskiej.

Jakiż marny triumf!

I czyż nie jest on w rzeczywistości raczej po- rażką moralną?

Posłuchajmy bowiem co pisze „Życie Ludu”:

„Jeżeli Polacy, którzy kosztowali smaku aresztów i więzień wrażeń za szkołę polską, słusznie są uważani za męczenników idei narodowej, to przecież i ci prości, biedni, w kożuchach, siermięgach i łap- ciach bohaterzy ze Strzelców i Raściun będą czczeni nie tylko przez obecnie żyjących Litwinów, ale i przez przyszłe pokolenia — jako bojownicy za litewską sprawę narodową, która przecież dla każdego Litwina winna być świętą”.

Za mało trupów.

Dziki ten, budzący reminiscencje z czasów pier- wotnych okrzyk rozlega się obecnie nie na zalanem krwią pobojuwisku, nie w dziewiczych dżunglach afrykańskich, lecz w ścianach wszechnicy Stefana Ba- torego, a wydają go nie okrutni wodzowie plemion ludożerczych, lecz łaknąca wiedzy ...i dyplomu mło- dzież akademicka.

Za mało jest w Wilnie bezdomnych nędzarzy, których pogrzebem niema komu się zająć i których zwłoki z ulicy lub szpitala wędrują do prosektojum. Za mało jest w Wilnie proletariatu chrześcijańskiego, bo z żydowskiego głodny skalpel anatomiczny niema żadnej korzyści. Społeczeństwo żydowskie jest tak przesiąknięte średniowiecznymi przesądami, że tole- ruje działalność u siebie bractw pogrzebowych, któ-

gacja w Rzymie krótkim *non expedit* położyła kres tym zabiegom. Nie koniec na tem. Ks. Palmieri przeżył jakiś głęboki a bolesny kryzys, którego następstwem było opuszczenie wreszcie stanu zakon- nego i kapłańskiego, mimo że nie poniósł *naufra- gium circa fidem*.

Tak obit *Pater Palmieri, natus est Professor Palmieri*.

Jednak nie stracił zamiłowania do badania spraw Europy Wschodniej i w ciągu dalszym je uprawiał. Znalazł się na właściwym miejscu w założonym przed kilku laty w Rzymie „Istituto per l'Europa Orientale”, oddając mu niezliczone usługi dzięki swej znajomo- ści języków rosyjskiego, polskiego i bodaj południo- wo-słowiańskiego. W organie tej instytucji zawsze można było znaleźć źródłowe wiadomości z Litwy, Białorusi, Ukrainy, Łotwy, Estonji, Rosji... Oprócz notatek, zamieszczał ten organ i większe artykuły, jak np. prof. Szczebiediewa o współczesnej literatu- rze białoruskiej. Zmarły darzył niemałym zaintereso- waniem „Przegląd Wileński”. Zabiegał o zdobycie wszystkich jego roczników, streścił cały szereg jego artykułów i drukował te skróty po włosku kolejno w numerach swego organu.

rych jedynem, zgoła nieprodukcyjnym zajęciem jest oddawanie ostatniej posługi ubogim zmarłym współwyznawcom.

Zaiste sytuacja tragiczna. Biedne, zacofane miasto, nie zasługujące na zaszczyt posiadania w swych murach uniwersytetu, bo skąpiące dłań trupów nawet. A tak niedawno tyle ich było! Tyle zwłok „nieznanych żołnierzy” gniło po polach, tyle mężczyzn, kobiet i dzieci umierało z głodu i wyczerpania, a nie było ich często za co pochować! Dziwnie los bywa często niesprawiedliwy... Trzeba jednak szukać jakiegoś wyjścia.

I oto młodzież akademicka znalazła sposób zaradzenia złemu: ograniczyć ilość słuchaczy na wydziale lekarskim odpowiednio do ilości dostarczanych trupów, a ponieważ brak jest właśnie trupów żydowskich, więc nie dopuszczać do prosektorjum studentów-Żydów. Takie postanowienie zapadło wśród młodzieży polskiej i niezwłocznie przystąpiono do jego wykonania. Nazajutrz studenci-Polacy nie wpuścili do sali anatomicznej swych kolegów-Żydów. Powstało zamieszanie, walka, w rezultacie profesor zamknął prosektorjum i zawiesił wykłady. Rozpoczęły się wtedy układy, zabrały głos pisma polskie i żydowskie. Zatarg wszakże dotąd nie został załagodzony, a senat uniwersytecki grozi, że prosektorjum zamknie całkiem.

Przypuśćmy jednak, że żądanie strony polskiej zostałoby spełnione i Żydów usunięto od studjów anatomicznych, a mimo to ilość trupów nie wystarczałaby na potrzeby młodych adeptów sztuki lekarskiej. Cóż wtedy czynić? Po rozgraniczeniu rasowym wypadłoby przystąpić do segregowania słuchaczy, no i trupów oczywiście — według narodowości i wyznań. Postępując konsekwentnie należałoby przyjąć jako zasadę, że Polak może krajać tylko trupa polskiego, Litwin — tylko litewskiego, katolik — tylko katolickiego, ewangelik — tylko trupa kalwina lub luteranina. Powstałaby może trudność w określaniu narodowości i wyznania nadsyłanych do prosektorjum zwłok rozmaitych włóczęgów, których tożsamość nie daje się często stwierdzić, więc większość polska i katolicka, z kolei zażądałaby usunięcia pozostałych mniejszości,

wychodząc z założenia, że kraj ten jest „odwiecznie polski”, a więc i trupów innych być tu nie może...

Oto, do jakich wyników, nawet ściśle politycznych może doprowadzić tak rozpowszechniony w zacofanem Wilnie kult zmarłych!

Licz.

Piszą do nas.

Dziwny misjonarz.

W powiecie Słonimskim istnieje obszerny majątek Działkowicze, liczący kilka tysięcy hektarów i należący obecnie do zakonnego zgromadzenia t. zw. michaelitów, sprowadzonych tu z Galicji przez dotychczasową właścicielkę p. Jelską w celach misyjnych, kulturalnych, religijno-wychowawczych.

Piękna to jest fundacja. Zdawałoby się, że nic zarzucić nie można ani intencjom hojnej ofiarodawczyni, ani zbożnej pracy misjonarzy. Oby tak piękny przykład znalazł licznych naśladowców!

Lecz, niestety!

Charakterystyczne, trącające skrajnym szowinizmem metody każą przypuszczać, że nie te czysto religijne cele sprowadziły do naszego kraju galicyjskich zakonników. Katolicyzm, sprawa zbawienia dusz i niesienia im pomocy duchowej i materialnej są to dla nich sprawy drugorzędne.

Na pierwszym planie zaś znajduje się działalność narodowo-polityczna.

Oto fakt, stwierdzający to przypuszczenie.

Latem b. r. zdarzył się w pobliskim miasteczku Nowej-Myszy pożar, w czasie którego spłonęło kilkanaście mieszczkańskich katolickich i żydowskich domostw.

Rozpaczliwe położenie ubogich i rozpaczonych pogorzalców do tego stopnia poruszyło działkowickiego kwestarza zakonnego, kwestującego stale wśród tychże ubogich mieszkańców Nowej-Myszy, że, wszystkim obiecał dać aż po 2 kłocę na odbudowę.

Rozrzewnieni nędzarze, jak katolicy, tak żydzi skwapliwie udali się po ową skromną zapomogę.

Nadmienić należy, że Palmieri od lat bezmała dwudziestu miał znajomych wśród wybitnych przedstawicieli kleru litewskiego (ówczcześni arcybiskup Matulewicz, biskup Kuchta, prof. Kraujalis.). Białorusinów znowu, jako etnicznie i terytorjalnie predysponowanych do pracy unionistycznej, zachęcał do niej szczególnie, uważając tu pracę narodów bardziej na zachód zamieszkałych więcej za zastępczą i przemijającą. Jeszcze przed paru laty w liście do piszącego, jako do obserwatora spraw krajowych, prosił o nadsyłanie materiałów do kwestji białoruskiej. Również studenci Białorusini w Rzymie spotykali u Palmieriego szczerą życzliwość i zachętę do pracy dla dobra Kościoła i swego narodu.

Ani trochę nie chcemy zatajać też faktu, że w latach ostatnich ze zbyt ostrego niekiedy krytyka Polaków dość nieoczekiwanie się przedzierzgnął w nadmiernego czasem ich chwalcę. Gdy pierwiej nie szczędził im cierpkich wyrzutów, teraz spalał ku ich czci za dużo kadzidła. Mile tem polechtani Polacy, podobnie jak pierwiej uważali Palmieriego za istnego potwora, mianowali go dziś wielkim swoim przyjacielem. Kto wie, może to było ze strony zmarłego ekspiacją?

Czasem jednak zawodziła Palmieriego znajomość polszczyzny: tak niedawno zdając sprawę z powieści Żeromskiego „Turoń” pomieszał tę nazwę z. . Toruniem! Ba, ale ludzie mówili, że gwiazda Palmieriego już była zgasła!. Palmieri z r. 1926, a dawny, to już nie ten sam co do trzeźwości rozumowania.

Dziś, gdy już odeszli w zaświaty Palmieri i jego srogi antagonistą ks. Mohl, a zagadnienie zbliżenia kościołów zyskało u nas znacznie na aktualności, trudno się oprzeć wrażeniu, że w niejednym „osławionym” ks. Palmieri okazał się wcale dobrym jasnowidzem. Dziś już nie Włoch uskarża się na całe góry uprzedzeń wśród kleru polskiego do pracy unionistycznej, lecz najprawdziwsi, stuprocentowi Polacy z Korony i Małopolski, chcący wydatnie na tem polu pracować.

I napewno nie obcą ta bolączka była dla obradujących w tych dniach w Wilnie biskupów łacińskich z nad granic wschodnich.

Sonderling.

Nie wszyscy jednakże okazali się godni tak wspaniałomyślnie przyobiecanej jałmużny.

Któż został pominięty?

Może starozakonnicy, o których, jak można było się spodziewać—nie zapomną zamożni rodacy?

Gdzie tam!

Ze wzgardą odrzuconą została najuboższa katoliczka—wdowa za to tylko, że jest matką świadomego Białorusina, który czyta białoruskie gazety i nie wstydzi się publicznie przyznawać do swej narodowości.

„Dla was u mnie niema nic” — odrzekł zakonnik na pokorne prośby żebraczki.—„Dla was to nie-szczęście jeszcze za małe. Was jeszcze będzie Bóg nie tak karać. Wszystkich was Białorusinów ta sama kara spotka, co i ciebie i twego syna (a syn podobno był kontuzjowany piorunem), jedź sobie, nie mam dla was nic”.

I biedna kobiecina musiała z próżnymi rękami wrócić na swoje zgliszczą, chowając głęboko w sercu nieutulony żal do polskiego misjonarza, opowiadając wszystkim o nadzwyczajnym tym samarytanizmie.

Taką drogą oto ów apostoł szerzy zasadę chrześcijańską miłości bliźniego i tak pojmuje swe zadania misjonarza na ziemi białoruskiej!

Jakże głęboko zapuścił korzenie szowinizm narodowy w duszach nawet cichych zakonników!

Przejezdny.

Bibliografia.

Jan Krywko. *O ogórku trockim*. Wilno 1926. Nakł. Zw. Kółek i Organizacji Rolniczych Ziemi Wileńskiej z 6 rysunkami. Uzupelniona odbitka z „Tygodnika Rolniczego”.

Cóż ogórek? Ot wielka ważność, owoc najwzrostliwszy, czy ty jego zakwasisz, czy w occie, czy tak, z miodem zjesz, czy bez niczego, kiedy jeszcze jałmużnik niema,—przy robocie zakwasisz. Tak sobie mówi człowiek tutejszy, dodając: „a już osobliwie trocki, najważniejszy ogórek”. I nic nieboże nie wiesz, jaką to starożytność zjadasz „tak sobie”, od niechcenia, na codzień. Bo oto zajmująca broszurka p. Krywko objaśnia nas, że ogrodnicy troccy, mają kilkusetletnią tradycję w hodowaniu ogórków, że Karaimi przybyli do Witoldowej stolicy z Krymu w XIV w. jako jeńcy wojenni wypraw wielkoksiążęcych, otrzymywali ziemię, w nagrodę za zasługi w medycynie, zarządzie skarbem i t. p. i na niej ogrody zakładali. W XVI w. są wzmianki w dokumentach o Martynie Krywopuście, o Ławrynie Gubinoziemie, o Kendrucie i wreszcie o Kobeckim, że za 60 kop groszy ks. Sapieha ogórki trockie do kiszenia u niego kupuje.

Hodowlę ogórków przywieźli więc pewnie owi przybysze z Krymu, gdzie warzywnictwo kwitnie, a rozpowszechniali je też zakonnicy obu obrządków; stały się też one niebawem ulubionym przysmakiem najbiedniejszych jak i najbogatszych stołów. Po biesiadach pijackich szlachty, kwaśny ogórek (czyt. pół kopy) najlepszym był orzeźwieniem, a uznojeniem żeńcy i kosiarze, jakże chętnie gasili pragnienie tym litewsko-rusko-tatarskim przysmakiem. Koroniarze natomiast do dziś dnia ze zwyczaju jedzenia ogórków z miodem kpią niemiłosiernie.

J. Strumiłło w VI wydaniu swych „Ogrodów północnych” 1862 r. nazywa ogórki trockie „płodniami

i soczystymi, najlepszymi do kwaszenia”, ale w katalogu nasion, ukazują się dopiero w 1891 dzięki firmie Welera. W okolicy Trok do 150 hektarów zajętych jest pod uprawę ogórków, handel owocem i nasionami oddawna się tu praktykuje: na szerszy eksport zakupywali je dawniej t. zw.—Pińczuki, roznoszący je po całej Rosji. W czasie wojny, zaledwie u kilku ogrodników przechowało się nasienie ogórków w m. innemu u p. Zacharjasza Mickiewicza, skąd je nabywali po wojnie ogrodnicy miejscy i wiejscy.

Jak dawniej tak i teraz, Karaimi są głównymi producentami ogórków, sam hazan kienesy, p. Firkowicz jest znanym hodowcą, uprawia się tam odmiany: inspektowe, gruntowe, karaimskie, wielkie szyszkowate, zwane też dożykowe. Ogórki zawierają spory procent cukru i węglowodanów, a trockie mają i tę zaletę, że nie ulegają chorobom ogórkowym, na jakie cierpią np. muromskie i inne.

P. Krywko obrazowo i zajmująco, nie zaniedbując używania wszystkich miejscowych wyrażeń, opisuje żywot ogórkowy od manipulacji z nasionami, do zbioru owoców, przeto broszurka jego jest nie tylko podręcznikiem dla hodowców, ale i ciekawym studjum etnograficzno-obyczajowym. Więć kolejno dowiadujemy się o przygotowaniu gleby pod uprawę ogórków, sposobem zwanym *kartanina*, poczem następuje nacinanie grząd w 5 brzozen z *przymieszkami* pomiędzy niemi. Wysiewa się parzone pod pierzynami nasiona w *kotuchy*, do których ziemi bierze się z *trzaśnika* i albo w *cieplicy* stawia, albo w przewiewnym budynku, pokryte prześcieradłem w letniej wodzie umoczanem. Posadzone, trzeba pilnować by *nie wyciekły*, dwa, trzy razy się piele, chroni od kretów, dużo z tem pracy i kłopotu. Później, w 6—7 tyg. po zasadzeniu, zbiera się pierwsze owoce, *zeszczypuje*, od 5-ej rano. Wsypuje do beczek i w nich w tzw. *pierwszej wodzie* sortuje się: *wielkie, średnie, podśrednie*, i braki: *pipluki i żółciaki*. Spłukane w *drugiej, czystej wodzie*, pakują się do worków na sprzedaż na rynek. W jesieni zbiera się jeszcze piąta kategoria: *korniszony*.

Co do nasion, trzeba zważać, by nie kupić *plaskunów*, czyli martwych nasion; by je oddzielić trzeba wszystkie ziarenka zanurzyć do wody i *splawić* lekkie, na jeziorze, na sitach wymywa się reszta do czysta.

Sposób solenia tego naszego przysmaku, też wyczerpująco jest opisany. Pono do kilku tysięcy beczek rocznie zakwaszał p. Gach z Antokola, opłacalność hodowli również podana obszernie, a na ostatku, nawet przesady ogrodnicze: o letkiej ręce, o flancach i t. p. Bardzo, bardzo miła i zajmująca „tutejsza” opowieść o naszym, trockim ogórku.

b. r.

Świaszczennaja Historyja Staroża Zawietu. Ułożona *Siergiejem Paułowiczam*. Wilno. 1926. Str. 159+V z 10 obrazkami w tekście i kartami geograficznymi.

Sprawa białoruskich podręczników do nauki religii tak katolickiej, jak prawosławnej jest na szarym końcu długiego wprawdzie szeregu trosk nauczycielstwa białoruskiego. Od czasu okupacji niemieckiej nic a nic w tym celu nie zrobiono. Fizyka, kosmografia, higiena i in. przedmioty już od kilku lat mają lepsze lub gorsze podręczniki.

Z obowiązku sprawozdawcy należy mi dziś ocenić *pierwszy* większy białoruski podręcznik do nauki religii prawosławnej. Tak go nazwałem, bo dwie mniejsze książeczki dla prawosławnych, wydane jedna czcionkami łacińskimi przez W. Łastowskiego, druga pod firmą s. p. o. Holenkiewicza mogą uchodzić

tylko za katechizmówki. Otóż wydawcą i bodaj nakładcą omawianej tu nowości jest nauczyciel religii prawosławnej w gimnazjum białoruskiem w Wilnie, kandydat teologii Sergiusz Pawłowicz, od tejże jesieni bieżącej piastujący tamże również urząd inspektora. Jak na stosunki powojenne wśród prawosławnych Białorusinów m. Wilna jest to siła wcale wybitna i kompetentna. Przy należnym dlań respekcie, jednak właściwą ocenę podręcznika rozpoczną od wytknięcia autorowi opuszczenia. Formalnego ale dużego opuszczenia. Pawłowicz w tytule swej książki *nie* wspominał ani słowem, że jego podręcznik jest przeznaczony dla prawosławnych! Jest to tem dziwniejsze, że zarzut *blutaniny*, jakiejś spekulacji na braku orientacji u kupujących i czytających tę książkę jest tu zupełnie, ale to zupełnie wykluczony. Właśnie niedawne mężne wystąpienie Pawłowicza na letnich białoruskich kursach nauczycielskich przeciw propagandzie wśród Białorusinów metodyzmu dowodzi najwyraźniej, że jest on zdeklarowanym, a występującym zawsze z otwartą przyłbicą wyznawcą Cerkwii Prawosławnej i mocno stoi na gruncie historycznego chrześcijaństwa. Żadną tedy miarą, mimo popełnione opuszczenie, nie można odnieść do Pawłowicza zarzutu, na jaki *pleno iure* zasługują np. białoruskie religijne wydawnictwa łódzkiej firmy „Kompas”...

Podręczniki do nauki religii katolickiej dziś są co do formy znacznie unowocześnione, podręcznik zaś Pawłowicza w niejednym jeszcze przypomina dobrze pamiętną starszemu pokoleniu z czasów gimnazjalnych rosyjską biblijkę Szustera dla katolików. Podobieństwo to więcej polega na podziale tematu na okresy i na chronologii ich, bo samo opracowanie przedmiotu dał Pawłowicz najzupełniej własne, a niekiedy i oryginalne. Zwłaszcza dużo, mojem zdaniem, nawet zbyt dużo, jak na podręcznik dla białoruskich *paczkowych* szkół i *małodszych* klasau gimnazjau”, weszło doń teologii, t. j. rozważań czysto spekulatywnych. Byłoby też lepiej, jeśliby następowały one *po* naradzie biblijnej, jako jej wynik, a nie przed nią. Nie dość jasno autor podkreślił, że nie święci prorocy, lecz przedewszystkiem Mojżesz jest tym, przez którego Bóg objawił ludziom tajemnicę kosmogonji. Opuszczone jest wyjaśnienie imienia Ewy. Nie znalazłem też, obok tylu innych terminów przez Pawłowicza wytłumaczonych, określenia teokracji, tak typowej dla epoki biblijnej. Uderza również u Pawłowicza nadmiar dziejów politycznych narodu wybranego. Rzecz jasna, że i one uwidoczniają w sobie myśl Bożą, ale nie stanowią jeszcze tematu *par excellence* religijnego w wykładzie szkolnym.

Podobno Pawłowicz, wydając swój podręcznik, chciał przez to samo obdarzyć prawosławnych Białorusinów książką, nadającą się do lektury religijnej w domu. Piękny to zamiar, ale nie szkodziłoby rzecz o nim słówko we wstępie, dla uniknięcia nieporozumień.

O języku książki nie biorę się sądzić.

Malunki są miernymi reprodukcjami mniej znanych odtwórców scen biblijnych lub dość marnych rekonstrukcyj Jerozolimy, wydobytych gdzieś ze zbiorów muzealnych. Podręcznik Pawłowicza, *mutatis mutandis* i wydany czcionkami łacińskimi, mógłby chyba otrzymać dość łatwo aprobatę władzy kościelnej i tak stać się autoryzowanym również dla białoruskiej katolickiej diatywy. W każdym razie przybył

Białorusinom katolikom surowiec pierwszego gatunku. Niezadługo ma się ukazać tegoż autora *Swiaszczennaja Historyja Nowaho Zawietu*.

ex.

KRONIKA.

Śmieszna małostkowość. Do jakiego stopnia gorliwi unifikatorzy opanowani są nienawiścią do wszelkich śladów historycznej odrębności Wilna, jako stolicy W. Ks. Litewskiego — świadczy drobny, ale niezmiernie charakterystyczny fakt następujący.

Na znaczkach pocztowych jednogroszowych, jak wiadomo, jest reprodukowany wizerunek Ostrej Bramy. Ogólny wygląd jest skopjowany wliwie ze wszelkimi szczegółami, (zapewne na podstawie fotografii), z wyjątkiem środkowego medaljonu z górnym fryzją, który w reprodukcji jest zupełnie pusty, gdy w rzeczywistości figuruje na nim Pogoń. Otóż władze pocztowe uznały widocznie szczegół ten ornamentacyjny za wysoce nieprawomyślny i kazały go usunąć z rysunku — a tyście, czy też z fotografii — retuszowi. Dość, że na reprodukcji Pogoni niema. Zaznaczyć należy, że reprodukcja jest wykonana w tak drobnych rozmiarach, że dokładnie rysunek fryzu daje się rozpoznać jedynie pod szkłem powiększającym, a jednak i to mikroskopijnie wyobrażenie naszego prastarego herbu kłuło w oczy warszawskich „patryjotów”, skoro się postarali o jego usunięcie.

I czegoż tu się potem wyśmiewać z rosyjskich cenzorów?

Jeszcze niezadowolony! Poseł Zwierzyński, (będący jednocześnie wydawcą „Dziennika Wileńskiego”) zgłosił rezygnację ze stanowiska rzeczoznawcy przy sekcji komitetu politycznego do spraw województw wschodnich oraz do spraw mniejszości narodowych, motywując swe ustąpienie zasadniczą rozbieżnością swych zapatrywań z obecną polityką rządową w tej dziedzinie.

Czyżby p. Zwierzyński był niezadowolony z szyskan, stosowanych przez władze szkolne względem szkolnictwa litewskiego i białoruskiego? Jeżeli tak, to mniejszości narodowe powinny złożyć publicznie hold swemu dzielnemu obrońcy...

Demagogja bonifraterska. Od r. 915 Litwini katolicy, na mocy rozporządzenia władzy kościelnej, mieli w kościele św. Krzyża (Bonifratrów) swe nabożeństwa w niedziele i święta doroczne. W ciągu ostatnich paru lat, wobec wyznaczenia dla tych nabożeństw zbyt późnej godziny, nie dochodziły one do skutku. Gdy w bieżącym roku szkolnym Litwini mogli już i chcieli skorzystać z przysługującego im prawa, zakonnicy bonifratrzy, w których posiadaniu znajduje się obecnie ten kościółek, uciekli się do nędznej wymówki. Oto zasłonili się niechęcią do Litwinów bractw kościelnych (czytaj: dewotek) i na tej zasadzie kategorycznie odmówili Litwinom u siebie gościny. Niedost tego, sprawę przedstawił w „Dzienniku Wileńskim”, jako... zamach Litwinów na kościół.

Są czy niema? Korespondent „Dziennika Wil.” z Lipniszek oburza się na miejscowego działacza białoruskiego Szymkiewicza, który agituje za otwarciem szkoły białoruskiej, chociaż „w Lipniszkach Białorusinów niema”. A tuż zaraz następuje również ujemna charakterystyka drugiego działacza Światowostokowa, o którym korespondent pisze, że „Moskal ten niewiadomo skąd się wziął” i że „miejscowi Białorusini nie uważają go za swego i zaprzeczają mu w otwartym liście do „Krynicy” prawa występowania w ich imieniu”. W ięc jakże? Raz czytamy, że w Lipniszkach Białorusinów niema, a w innym miejscu, że są i nawet są zorganizowani, bo wysyłają protesty do gazet. Trzeba się wreszcie na coś zdecydować, panie A!

Z powodów technicznych do numeru niniejszego nie weszła część materiału doń przeznaczzonego, między innymi przegląd prasy żydowskiej.

Treść numeru: Teorje i rzeczywistość. — *Weteran*. Jak cię słyszą, tak cię piszą. — *L. A.* Jubileusz d-ra J. Basanowicza. — *Licz.* Z mego notatnika. — *Przejezdny*. Dziwny misjonarz. — *Bibliografja*. — *Kronika*. *O d c i n e k*. — *Sonderling*. Aureljusz Palmieri